

REJESTR DOTYCZY:

CYGANIEWICZ Stanisław Zbyszko

s/c i

z d.

[1879?]
1 kwietn. 1881 w Jodłowej k. Jasła w rze-
szowskim

kraj: ...POLSKA.....

+ 23.09.1967 ~~1968~~ w Saint Joseph

kraj: US.

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

319 / 68

Nota zamieszczona:w tomie
częściIndeksCopyright: 1970
B.O. JeżewskiŹródła i bibliografia c.d.:znak rozpoznawczyUwagi:m. Jodłowa jest w pow. Jasło w rzeszowskim
m. Jodłówka Tuchowska gr. pow. Tarnów

Stanislaus Zbyszko

Jan Stanisław Cyganiewicz

Nota:

Przypisy:

412 -

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

- | | |
|--|-----------------|
| * S.Łoza "Czy wiesz kto to jest" nota biogr.
/m.ut. Stanisławow/ | 105 |
| * Who s Who in Polish america - nota biogra.
/m.ur. Stanisław"/ | 135 |
| * W.EMP.Panu 1967, pdaje rok ur. 1881 /prawidłowy/
a miejsce ur. "w Jodłowej" bez okres. gdzie
leży/ | 109/II. |
| * Dziennik Polski 11.4.68 ,K.Zbyszewski "Przesławne
muskulę" podaje m.ur. w Jodłowej pod Tarno-
wem, a date ur. 1.4.1881 | 18/11.IV.68/ |
| * Dziennik Polski 19.4.76 "wspomnienia Zbyszko Cyga-
niewicz" podaje m.ut. Jodłowa k.Tarnowa
i rpk 1880/ | 56-A/ 19.IV.76/ |
| * Polonica Americana A.S.Wolanin s. 34 Cyganiewicz Z
Stanisław "byszko "Na Ringach Całego Swiata"
Ksiega Wspomnien 143p. nakład Ksiegarni
Karoliny Piszowej, Nowy Sącz 1937 | 152/ 34/ |
| * Narodowiec 21.2.79 "Zbyszko Cyganiewicz wSallauminas" | 33/ 21.II79 / |

Zbyszko Cyganiewicz w Sallaumines

„Pogoń” lwowska ze swymistudentami.

Pięściarstwo polskie po występie w Sallaumines

Przybyły ze Zbyszkciem Cyganiewiczem do Francji północnej Feliks Stamm, zatrzymał się na „Nordzie” kilka dni. Rozszerzał bowiem właśnie swą szkołę pięściarską. Odwiedził kilka ośrodków i „zaciągnął” do swojej szkoły kilku młodych, początkujących bokserów, w rejonie Ostricourt-Libercourt, Divion, złożył wizytę ówczesnej gwiazdzie boksu Mascartowi w Anzin, gdzie również zwerbował kilku początkujących pięściarzy.

Z tak zorganizowanej „stajni” Stamma wyszło kilku dobrych pięściarzy polskich, którzy potrafili załłysnąć na firmamencie boksu międzynarodowego, mimo silnej wówczas konkurencji francuskiej. Taki Pol-Jut, (J. Jutkowiak) ,wychowanek Stamma, wybił się na czoło, podobnie jak kilku innych.

Stamm w latach trzydziestych wrócił do Kraju, gdzie był twórcą szkoły pięściarstwa polskiego i do wieku podeszłego przygotowywał kadry pięściarzy, poważanych dziś na ringach boksu międzynarodowego.

Jakkolwiek błędem byłoby przypisywanie krótkiemu pobytowi Cyganiewicza wśród górników polskich we Francji północnej, pięknych późniejszych osiągnięć polskiego sportu emigracyjnego, to przyznać trzeba, iż występ Zbyszka Cyganiewicza w Sallaumines był jedną z jasnych chwil polskiego sportu emigracyjnego.

Minęło prawie 50 lat od tego czasu. Dla wielu młodych czasy te są nie znane. Czasy, w których życie organizacyjne na emigracji kipiało i wbrew pozorom pozostawiło głębokie ślady a zdobycze, którymi dziś młodzie się cieszą, miały często swe źródło właśnie w tym potężnym życiu organizacyjnym, które trwa i daje wyniki. Dziś chodzi o dalsze poszerzenie osiągnięć i celów, często zmienionych, ale w treści zawsze tych sa-

na głównie w okręgu Douai, Lens, Ostricourt, Bruay-en-Artois, Marles-Mines, Anzin. Z czasem członkowie związku, w większości pełniący zawód górnik, przeszli do związków francuskich i po II Wojnie Światowej Związek ten nie wznowił swej działalności. Były to rzeczy przykre, ale nie zawinione przez przywódców. Odnowa lisansów za pośrednictwem Sokoła, traktowanego wtedy jako konkurent zawadający „Strzelcowi” przez ówczesne czynniki sanacyjne, była utrudniona i z tej przyczyny młodzież sięgała coraz częściej po lisanse do organizacji francuskich, które przyjmowały ją z otwartymi rękami.

Występ Zbyszka Cyganiewicza w Sallaumines, który miał charakter międzynarodowy, jako że partnerami byli Francuzi oraz Jugosłowianie, miał jeszcze inne korzystne skutki.

Przywódcy polskich organizacji sportowych i wychowawczych, zachęcani powodzeniem występu w Sallaumines, zmierzyszy swe możliwości poczęli patrzeć szerzej, nie ograniczając się tylko do samej działalności w koloniach polskich.

Piłkarze emigracyjni, choć symbolicznie uważający się za zagraniczny członek PZPN w Polsce, poczęli organizować mecze międzynarodowe, jak to się we Francji mówi o spotkaniach drużyn co najmniej dwóch narodowości. Nawiązano ścisłą współpracę z piłkarzami w Kraju i niebawem sportowcy polscy mogli gościć we Francji u polskich klubów emigracyjnych. Przybyła krakowska „Wisła”, lwowska „Pogoń”, „Warszawianka”, „Ruch” z Chorzowa i inne pomniejszych. Z braku wielkich boisk mecze odbywały się niejako na „uboczach” w Billy-Montigny, Auchel, Libercourt. Warto zaznaczyć, iż nowozbudowany stadion im. Bollaerta

Zamieszczone w „Ilustrowanym Kalendarzu Wychodźczym” — pięknie wydany przez zakłady „Narodowca”, wspomnienie poświęcone wielkiej karierze zapasnika mistrza świata Zbyszka Cyganiewicza, nasuwa inne wspomnienie z wizyty tego wielkiego Polaka u Wychodźstwa polskiego we Francji i jego jedyne go wówczas występu w Sallaumines.

Było to w czerwcu 1928 roku. Na łamach „Narodowca” i całej prasy emigracyjnej pojawiła się sensacyjna wiadomość: „Zbyszko Cyganiewicz, mistrz świata, wystąpi w Sallaumines, pod Lens, na terenie departamentu Pas-de-Calais”.

Zbyszko — jak nam sam wówczas oświadczył — wracał z wizyty u rodziny w Polsce i zatrzymał się w Paryżu, by czekać na okręt, jako, że wówczas jeszcze nie latano przez Ocean jak dziś. W stolicy Francji w czasie „lampki wina” zorganizowanej przez polonię paryską na jego cześć, spotkał się m. in. z inż. Bielskim, ówczesnym prezesem gniazda Sokoła Paryż. Znajomość została nawiązana. Zbyszko z miejsca zapalił się do spotkania z Sokolstwem na terenie Francji, zorganizowanym w tym czasie w Dzielnicy VII ogólnopolskiego Związku Sokolstwa. I tak prezes Dzielnicy, która odpowiadała Związkowi Sokolstwa Polskiego we Francji, śp. Franciszek Grzona, wspólnie z kierownikiem „Narodowca” J. Knobloch, zaprosili Cyganiewicza do Lens. Zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem. Przy sposobności Zbyszko zaproponował występ pokazowy.

Z braku odpowiednich lokali w odbudowującym się ze zniszczeń wojennych Lens, wybrano sąsiednie Sallaumines, gdzie istniała nowozbudowana sala Jańczaka, jak ją popularnie nazywano. Pachniała jeszcze wtedy świeżym wapnem. Z podwórza nie zdążono usunąć wszystkich belek po rusztowaniach. Ale sala, która w życiu polonii Sallaumines i o-

Ludzie zdążyli do Sallaumines z daleka. Komunikacja autobusowa nie umywała się do dzisiejszej, była nad wyraz słabo rozwinięta. Liczni byli sportowcy, przybyli więc piechotą po kilkadziesiąt kilometrów (z Bruay-en-Artois, Divion, Bully, Grenay i innych miejscowości).

Czyż w tych warunkach trzeba dodawać, iż sala, mimo rozmiarów, dosłownie „trzeszczała w szwach”, wypełniona publicznością, wiwatującą raz po raz na cześć wielkiego rodaka? Albowiem nieomal po raz pierwszy pisano obszernie w prasie francuskiej o tężyźnie sportowej Polaków we Francji i pisano dobrze.

Jak każde wielkie wydarzenie w dziejach Polaków, przyjazd Cyganiewicza był powodem do dumy narodowej wychodźców, czujących się nie raz jakby zapomnianych przez Kraj.

Występ

Jeżeli chodzi o sam występ sportowy Zbyszka Cyganiewicza, który liczył wówczas 47 lat, miał on charakter pokazowy. Nie mniej, z punktu widzenia sportowego stanowił wielką nowość. Zbyszko zaprezentował nam walkę amerykańską, nazywaną dziś „kaczem”. Walka amerykańska „catch as catch can” była wówczas prawie nieznana we Francji. To też sprawozdawcy sportowi poświęcili wiele miejsca występowi Cyganiewicza w Sallaumines. Partnerami byli atleci z Paryża. Nadto staraniem Polskiego Związku Atletycznego przeprowadzono kilka

Sallaumines, gdzie istniała nowozbudowana sala Jańczaka, jak ją popularnie nazywano. Pachniała jeszcze wtedy świeżym wapnem. Z podwórza nie zdążono usunąć wszystkich belek po rusztowaniach. Ale sala, która w życiu polonii Sallaumines i okolicy odegrała wielką rolę jako miejsce zebrań, zjazdów, popisów (w tej to sali m. in. po raz pierwszy w ogóle, wystawiono „Chłopów” Reymonta w przeróbce znanego pisarza katolickiego Jerzego Zawieyskiego, pod reżyserią J. Strzemżalskiego i w obecności samego autora scenariusza) była gotowa na przyjęcie gościa takiego jak Zbyszko Cyganiewicz.

Pamiętny zjazd sportowców

Przybycie Cyganiewicza do Sallaumines zainteresowało cały ówczesny polski świat sportowy we Francji północnej a także w Paryżu.

Istniejący wówczas i pięknie się rozwijający Polski Związek Atletyczny z śp. Drzymałą na czele, wziął udział w technicznej organizacji spotkania. Związek ten, podobnie jak początkujący i dobrze zapowiadający się kolarze (Napierała, Banaszak, Nowak z Rouvroy i inni) pracowali na lisansach odpowiednich związków w Polsce, udzielanych za wstawiennictwem i pośrednictwem Dzielnicy Sokolstwa Polskiego we Francji.

Z Paryża przybył do Sallaumines, mieszkający wówczas stale we Francji Feliks Stamm, który prowadził od kilkunastu miesięcy sławną później szkołę pięściarstwa polskiego. Przybył też ówczesny polski kolarzski mistrz szosowy, Szamota, zamieszkały we Francji i występujący jako „półzawodowiec” tak zw. „individuel”.

Do Sallaumines przybyli też liczni sportowcy francuscy, wśród których znajdował się popularny wtedy mistrz pięściarski Mascart z Anzin, który poznał Zbyszka podczas swych występów w Ameryce.

była wówczas prawie nieznaną we Francji. To też sprawozdawcy sportowi poświęcili wiele miejsca występowi Cyganiewicza w Sallaumines. Partnerami byli atleci z Paryża. Nadto staraniem Polskiego Związku Atletycznego przeprowadzono kilka walk zapaśniczych, które jak oświadczył mistrz, stały na bardzo dobrym poziomie co potwierdza zresztą fakt, iż jeszcze niedawno polscy zapaśnicy, wychowankowie Drzymały, Warzechy i innych odgrywali poważną rolę w sporcie zapaśniczym na terenie Francji północnej i nie tylko północnej, zdobywając tytuły mistrzów z poszczególnych dzielnic.

Nam, nie obeznanym z prawidłami „catch as catch can” występ wydał się nieomal „morderczy”. Zbyszko rzucił partnera poza sznury ringu. Zapaśnicy wydawali „okrzyki wojenne”, pojedynkowali się.. na słowa i pogroźki.. Widowisko śledzone z zapartym oddechem.

Zbyszko po seansie goszczony był przez Sokolstwo. Odwiedził razem z kilkoma gośćmi z Paryża wydawnictwo „Narodowca”, gdzie honory domu pełniła śp. Halina Kwiatkowska, małżonka nieobecnego w tym okresie w Lens, założyciela-wydawcy śp. Michała Kwiatkowskiego.

Po powrocie do Paryża, przed wyjazdem do Ameryki, Cyganiewicz napisał serdeczny list do Związku Sokolstwa Polskiego, wyrażając wdzięczność za przyjęcie i zaproszenie

Dalekosiężne odpryski

Wizyta Zbyszka Cyganiewicza w Sallaumines miała, wbrew pozorom, dalekosiężne skutki dla rozwoju polskiego sportu atletycznego. Związek Atletów, jak nazywano zrzeszenia zapaśników i pięściarzy, dzięki rozwiniętej po wydarzeniu w Sallaumines propagandzie, nabrał rozmachu i jego działalność objęła całą Francję Północną, choć koncentrowała się o-

śledy z dobyczy, którymi dziś młodzie się cieszą, miały często swe źródło właśnie w tym potężnym życiu organizacyjnym, które trwa i daje wyniki. Dziś chodzi o dalsze poszerzenie osiągnięć i celów, często zmienionych, ale w treści zawsze tych samych co wówczas.

„Wisła”, „Iwowska”, „Fogon”, „Warszawianka”, „Ruch” z Chorzowa i inne pomniejsze. Z braku wielkich boisk mecze odbywały się niejako na „uboczu” w Billy-Montigny, Auchel, Libercourt. Warto zaznaczyć, iż nowozbudowany stadion im. Bollaerta w Lens, po raz pierwszy zanotował rekordową ilość widzów (26.000) z okazji meczu z polską drużyną krajową z Krakowa! Wielu Rodaków odeszło wówczas od kas nie uzyskawszy karty wstępu. Z uwagi na bezpieczeństwo, władze nakazały bowiem wstrzymanie dalszego napływu widzów w obręb boiska.

Wszystkie te spotkania, organizowane były we własnym zakresie przez Polski Związek Piłkarstwa we Francji, bez jakiegokolwiek pomocy lub subwencji, czy to ze strony państwa, czy jego przedstawicieli. Były to spotkania czysto amatorskie, „Wiślaczy”, „Pogoniarzy”, Warszawiaczy, Ślązacy z „Ruchu”, zadowalali się zwrotem rzeczywistych kosztów podróży i opłaceniem pobytu, ewentualne niedobory, albowiem koszty były znaczne, czasami pokrywało dobrowolnie kupiectwo polskie; piłkarzy gościli często rodacy — górnicy. Bezinteresownie, po przyjaźnielisku. Trzeba dodać, iż sami piłkarze z kraju, przeważnie studenci, względnie technicy lub urzędnicy, czuli się doskonale wśród braci górniczej, czemu szczerze dawali wyraz. Szczególnie dobrą pamięć pozostawiła z tych czasów „Wisła” krakowska ze starostą, dr Wnękiem na czele, oraz

Pobył Cyganiewicza w Sallaumines, dzięki propagandzie, jaką nadała mu prasa emigracyjna na obu półkulach, sprawił iż polonia amerykańska (tak się składa, że wyczynny sportowe przemawiają propagandowo najmocniej) nawiązała bliższe stosunki z organizacjami emigracyjnymi we Francji. Dość częste były później wizyty przywódców Sokolstwa polskiego w Ameryce u Sokolów polskich we Francji, którzy zmienili w międzyczasie statut Dzielnicy VII na Związek Sokolstwa Polskiego we Francji, Belgii i Holandii.

Dziś dążyć należy, by współpraca między poszczególnymi ośrodkami polonijnymi, nawiązana konkretnie w Toronto nabrała istotnych rumieńców.

AMY

P. S. — Powyższe zostało opracowane na podstawie wspomnień. Wiele fragmentów autor przytacza z pamięci, względnie w oparciu o relacje świadków bezpośrednich. Wspaniałe dzieje sportu polskiego na wychodźstwie we Francji czekają na kompetentnego historyka. Warto bowiem odtworzyć tę kartę historii, pięknej, bardzo bogatej, choćby tylko ku pokrzepieniu serc.

Wspomnienia

Zbyszko Cyganewicza

Urodziłem się w Jodłowie, w pobliżu Tarnowa, w roku 1880. Wychowany w ciężkich warunkach, zacząłem chodzić do szkoły w Pilźnie. Zdolności wybitnych nie okazywałem, uczyłem się dobrze, tylko łatwość do języków miałem olbrzymią. Grekę i łacinę zdobywałem bez trudu. Poza tym byłem chłopcem żywym, wesołym, krótko utrzymanym przez ojca, przebywałem dużo na świeżym powietrzu, odbywając z ojcem długie przechadzki, chodząc z nim na polowanie.

Siła była powodem incydentu z władzą szkolną. Gimnazjum kończyłem w czterech miastach, w Jasle, Stanisławowie, Stryju i w Krakowie, gdyż w miarę przenoszenia ojca przez jego zwierzchność i ja przenosiłem się do innego gimnazjum. Kiedy byłem w 6 klasie w Stryju wezwał mnie do swojej kancelarii dyrektor i oświadczył mi, że dalszy mój pobyt w gimnazjum jest niemożliwy. Wprawdzie moje zachowanie jest nienaganne - powiedział - ale widzisz siła twoja może stać się niebezpieczna.

— Panie dyrektorze, ja dla kolegów...

— Nie — przerwał mi — nie dla kolegów, lecz dla profesorów. I zwrócił mi papiery.

Ojciec został na posadzie w Stryju a ja powędrowałem do Krakowa i tam gimnazjum ukończyłem. Jeździłem dobrze konno, pływałem doskonale od piątego roku życia, strzelałem już wtedy znakomicie, do sportu miałem ciekawość wielką, ale do awantur, bójek nie miałem skłonności, nie biorąc nigdy udziału w szkolnych zwadach koleżeńskich.

W Krakowie zacząłem się uczyć gimnastyki i zapasnictwa, zasłyszawszy między kolegami jako młodzieniec niezwykłej siły i budowy. Kiedy byłem w 7 klasie, zjechał cyrk do Stanisławowa, gdzie niejaki Szpecht ogłasza się jako siłacz niezwyciężony i koledzy namówili mnie, abym tam z nimi pojechał. Kiedy dyrektor cyrku mnie zobaczył, kazał zaraz zając ogłoszenie opiewające, że ten kto zwycięży Szpechta otrzyma 500 koron nagrody.

Obejrzał mnie szczegółowo i rzekł: owszem, może pan

losalny apetyt, że ... dyrektor wywróżył mi wszechświatową sławę. Szpecht podarował mi jedwabne trykoty. Byłem z nich tak dumny, że nie zdejmowałem ich z siebie przez dwa tygodnie. Pojechałem w nich do rodziców. Ojciec pochwalivszy mój sukces, kazał wracać do gimnazjum.

— Dobra jest siła - rzekł - ale nauka przede wszystkim.

Wróciłem tedy do szkoły. Po maturze udałem się do Pytlańskiego i rozpocząłem z nim trening, wskutek nalegań ojca zaprzestałem jednak i udałem się na uniwersytet. Po paroletnich studiach w Krakowie i Wiedniu, wziąłem się jednak nieodwołalnie do zapasnictwa. Wyjechałem do Rosji i Królestwa Polskiego, gdzie stałem się tak groźnym przeciwnikiem dla zapasników i przedsiębiorstw, że nigdzie mnie angażować nie chciano.

W roku 1903 ogłoszony został w Paryżu konkurs wszechświatowy, zapasy miały się odbywać w Casino de Paris. Siły były takie, że nawet Poddubny i Aberg do finału nie doszli. Pomimo, że nie poniosłem żadnej klęski, dano mi trzecią nagrodę. Warunki konkursu były bardzo ciężkie: 20 franków dziennie i po pierwszej klęsce zapasnik zostawał wydalony. Zdobyłem wtedy rozgłos wszechświatowy i korzystne engagementy.

Nadszedł czas służby wojskowej. Wstąpiłem jako ochotnik jednoroczny i po wyjściu z wojska, z powodu braku treningu, poniosłem kilka klęsk. Zabrałem się wtedy do usilnej pracy i w dwa miesiące gotów byłem do sięgania po najwyższe laury. Pojechałem do Berlina, gdzie pokonałem wielu światowych championów.

Mogłem być zadowolony. Położyłem wszystkich najznakomitszych siłaczy, stałem się sławny na całą Europę, pozostawało mi zwalczyć jeszcze Poddubnego. W 1906 roku rozpisano w Paryżu dwa konkursy światowe. W Folies Bergeres zwyciężył Poddubny, w Casino - ja. Otrzymałem wtedy 12.000 franków i złoty medal. Odtąd było wtedy dwóch championów światowych walki francuskiej: Zbyszko i Poddubny. Po ukończeniu zapasów w Paryżu, otrzymaliśmy korzystne engagementy do Anglii. Były tam

dywan z terenu miejsca walki przypadał zwycięzcy.

Na tę walkę zjechało się ze wszystkich krańców rozległych kolonii angielskich, z Egiptu, Laplandii, Indii, Nowej Zelandii, Australii etc. Łoża kosztowała 100 rubli, zakładów było na kilkadziesiąt tysięcy funtów, przekupnie biletów byli rozrywani.

Kiedy przyjechałem do hotelu na plac, przy którym wznosił się London - Pawilion miejsce walki, cały fronton oświetlony był lampkami elektrycznymi, po środku jaśniało ogniem lamp różnokolorowych wypisane moje nazwisko. Plac był zapchany publicznością. Obrzucano mnie kwiatami, rzucano kapelusze, czapki, chciano mnie na barakach zanieść na miejsce walki.

Stałem na podium. W łozach damy w strojach balowych, panowie we frakach, girlandy z kwiatów, gwar, tłum zwarty, podniecony, zlewa się w różnobarwną mozaikę, zalaną morzem oślepiającej elektryczności. Przede mną stał Poddubny.

Ujrzałem nagle oczami mojej wyobraźni ten cały tłum zwyciężonych przez niego przeciwników, ujrzałem ten tłum skłębiony, unicestwiony u stóp tego olbrzyma, a na przeciwko niego stałem ja - jeden tylko, który nie rzeźił w jego śmiertelnie potężnym uścisku. I uczułem, że dla nas obydwóch miejsca w Europie za mało: że jeden paść musi - on albo ja!

Po 47 minutach walki Poddubny został przez sędziów zdyskwalifikowany. Ogłoszony zwycięzcą - otrzymałem 19.000 koron nagrody i dywan, na którym walczyłem. Poddubny wkrótce walk zupełnie zaniechał, mówiono, że porażka ze mną była tego głównym powodem. Zdobyłem ostatecznie tytuł championa świata walki francuskiej.

Pokonawszy wszystkich atletów europejskich, postanowiłem przerzucić się na nieznaną mi do owych czasów pole wolnej walki amerykańskiej, na którym staram się zdobyć miano championa świata. W walce owej szło mi bardzo szczęśliwie, gdyż w ciągu trzech lat poniosłem tylko jedną klęskę, a wygrałem przeszło 2000 matchów w Ameryce i Kanadzie...

chadzki, chodząc z nim na polowanie.

Siła była powodem incydentu z władzą szkolną. Gimnazjum kończyłem w czterech miastach, w Jasle, Stanisławowie, Stryju i w Krakowie, gdyż w miarę przenoszenia ojca przez jego zwierzchność i ja przenosiłem się do innego gimnazjum. Kiedy byłem w 6 klasie w Stryju wezwał mnie do swojej kancelarii dyrektor i oświadczył mi, że dalszy mój pobyt w gimnazjum jest niemożliwy. Wprawdzie moje zachowanie jest nienaganne - powiedział - ale widzisz siła twoja może stać się niebezpieczna.

— Panie dyrektorze, ja dla kolegów...

— Nie — przerwał mi — nie dla kolegów, lecz dla profesorów. I zwrócił mi papiery.

Ojciec został na posadzie w Stryju a ja powędrowałem do Krakowa i tam gimnazjum ukończyłem. Jeździłem do brzo konno, pływałem doskonale od piątego roku życia, strzelałem już wtedy znakomicie, do sportu miałem ciekawość wielką, ale do awantur, bójk nie miałem skłonności, nie biorąc nigdy udziału w szkolnych zwadach koleżeńskich.

W Krakowie zacząłem się uczyć gimnastyki i zapasnictwa, zasłynąwszy między kolegami jako młodzieniec niezwykłej siły i budowy. Kiedy byłem w 7 klasie, zjechał cyrk do Stanisławowa, gdzie niejaki Szpecht ogłasza się jako siłacz niezwycięzony i koledzy namówili mnie, abym tam z nimi pojechał. Kiedy dyrektor cyrku mnie zobaczył, kazał zaraz zając ogłoszenie opiewające, że ten kto zwycięży Szpechta otrzyma 500 koron nagrody.

Obejrzał mnie szczegółowo i rzekł: owszem, może pan walczyć ze Szpechtem, ale tylko biernie, bo to jest człowiek niezmiernie popędliwy i mógłby ci wszystkie kości połamać. Pierwszy występ siłacki wobec licznej publiczności zemocjonował mnie niezmiernie i walczyłem z zapalem ze Szpechtem, który był istotnie bardzo silny. Walczyłem jak mi kazał dyrektor, to jest broniąc się tylko. Po dwukrotnej walce poszedłem do dyrektora i powiedziałem:

— Niech mi pański atleta wszystkie kości połamie!

— I walczyłem z nim czynnie. Szpecht nie tylko, że mi kości nie połamał, lecz został połączony przeze mnie w 2.5 minuty. Było to moje pierwsze zwycięstwo.

Zapłacono mi 10 koron za występy i zaproszono na obiad, gdzie okazałem tak ko-

training, wskutek nalegań ojca zaprzestałem jednak i udałem się na uniwersytet. Po paroletnich studiach w Krakowie i Wiedniu, wziąłem się jednak nieodwołalnie do zapasnictwa. Wyjechałem do Rosji i Królestwa Polskiego, gdzie stałem się tak groźnym przeciwnikiem dla zapasników i przedsiębiorstw, że nigdzie mnie angażować nie chciano.

W roku 1903 ogłoszony został w Paryżu konkurs wszechświatowy, zapasy miały się odbywać w Casino de Paris. Siły były takie, że nawet Poddubny i Aberg do finału nie doszli. Pomimo, że nie poniosłem żadnej klęski, dano mi trzecią nagrodę. Warunki konkursu były bardzo ciężkie: 20 franków dziennie i po pierwszej klęsce zapasnik zostawał wydalony. Zdobyłem wtedy rozgłos wszechświatowy i korzystne engagementy.

Nadszedł czas służby wojskowej. Wstąpiłem jako ochotnik jednoroczny i po wyjściu z wojska, z powodu braku treningu, poniosłem kilka klęsk. Zabrałem się wtedy do usilnej pracy i w dwa miesiące gotów byłem do sięgania po najwyższe laury. Pojechałem do Berlina, gdzie pokonałem wielu światowych championów.

Mogłem być zadowolony. Położyłem wszystkich najznakomitszych siłaczy, stałem się sławny na całą Europę, pozostawało mi zwalczyć jeszcze Poddubnego. W 1906 roku rozpisano w Paryżu dwa konkursy światowe. W Folies Bergeres zwyciężył Poddubny, w Casino - ja. Otrzymałem wtedy 12.000 franków i złoty medal. Odtąd było wtedy dwóch championów światowych walki francuskiej: Zbyszko i Poddubny. Po ukończeniu zapasów w Paryżu, otrzymaliśmy korzystne engagement do Anglii. Były tam dwie rywalizujące ze sobą kompanie. Jedna zaangażowała Poddubnego z pensją 1500 rubli tygodniowo, oraz druga, która mnie zaangażowała z taką samą płacą.

W końcu doszedł do skutku match w pamiętnym dla mnie dniu 9 grudnia 1907 roku. Miałem walczyć z Poddubnym. Drżałem z niecierpliwości. Wszystko co było najgroźniejsze, najslawniejsze, leżało naokoło mnie pokotem. On jeden niepokonany najgroźniejszy z najgroźniejszych, trwał jak granitowa kolumna - drażniąc moją ambicję - nieporównany Iwan Poddubny. Warunki matchu były bardzo ciężkie. Dla zwycięzcy miało przyspaść wszystko: 65 proc. dochodu, połowa 10.000 funtów zakładów prywatnych, nawet

oświetlony był lampkami elektrycznymi, po środku jasniało ogniem lamp różnokolorowych wypisane moje nazwisko. Plac był zapchany publicznością. Obrzucano mnie kwiatami, rzucano kapelusze, czapki, chciało mnie na barkach zanieść na miejsce walki.

Stałem na podium. W łóżach damy w strojach balowych, panowie we frakach, girlandy z kwiatów, gwar, tłum zwarty, podniecony, zlewa się w różnobarwną mozaikę, zalaną morzem oślepiającej elektryczności. Przede mną stał Poddubny.

Ujrzałem nagle oczami mojej wyobraźni ten cały tłum zwyciężonych przez niego przeciwników, ujrzałem ten tłum skłębiony, unicestwiony u stóp tego olbrzyma, a na przeciwko niego stałem ja - jeden tylko, który nie rzeźił w jego śmiertelnie potężnym uścisku. I uczułem, że dla nas obydwóch miejsca w Europie za mało: że jeden paść musi - on albo ja!

Po 47 minutach walki Poddubny został przez sędziów zdyskwalifikowany. Ogłoszony zwycięzcą - otrzymałem 19.000 koron nagrody i dywan, na którym walczyłem. Poddubny wkrótce walk zupełnie zaniechał, mówiono, że porażka ze mną była tego głównym powodem. Zdobyłem ostatecznie tytuł championa świata walki francuskiej.

Pokonawszy wszystkich atletów europejskich, postanowiłem przerzucić się na nieznane mi do owych czasów pole wolnej walki amerykańskiej, na którym staram się zdobyć miano championa świata. W walce owej szło mi bardzo szczęśliwie, gdyż w ciągu trzech lat poniosłem tylko jedną klęskę, a wygrałem przeszło 2000 matchów w Ameryce i Kanadzie...

PRZESŁAWNE MUSKUŁY

Pod koniec zeszłego stulecia, w Stanisławowie, odbywała się doroczna procesja Bożego Ciała. Spóźniony sztubak, Stanisław Cyganiewicz, wpada do kościoła, rozgląda się co by ponieść? Nie ma! Chorągwie, obrazy, lich-tarze, nawet puszki — wszystko ludzie zabrali, ponieśli. Lecz jak-że iść na procesję, nie świętego nie niosąc? Stasio dostrzegł w kacie figurę Matki Boskiej. Stra-sznie ciężka, czterech mężczyzn nie dałoby jej rady, dlatego zos-tała. Nigdy nie była ruszana. Skulił się Stasio, władował sobie figurę na plecy i dołączył do pro-cesji.

Szedł przygnieciony ogromnym ciężarem. A ludzie, w procesji trącali się łokciami, pokazywali sobie ze zdumieniem Cyganiewi-cza. I zrozumieli wtedy, że to nie codzienny chłopak, że to nie-samowity siłacz.

Lata 1900-tne. Głucho o Pol-sce. Jest zapomniana, odgradzona deskami. Tylko trzech Polaków ma rozgłos światowy:

Sienkiewicz, Paderewski, Zby-szko Cyganiewicz.

Olimpiady są jeszcze w powija-kach, o boksie nikt nie słyszał, finał Wimbledonu ściga ledwo setki widzów, cała gloria sportu, wszystkie reflektory skupiono dziś na Cassius Clayach, Clar-kach, Santanach, wtedy, na po-czątku dwudziestego wieku, by-ły skierowane na sapiących po

cyrkach zapaśnikach, na tych spoconych siłaczy o byczych kar-kach. W gazetach świata pełno było Cyganiewicza. Zdobył mis-trzostwo świata. Kładzie wszyst-kich! Rosjan, Niemców, Austria-ków. Każde dziecko w Polsce zna jego nazwisko. Kusociński, Je-drzejowska, Kirszenstein, Pie-trzykowski, Schmidt, wszyscy ra-zem wzięci nie mieli dziesiątej części tej sławy co Cyganiewicz. Pan Wołodyjowski i Cyganiewicz sprawili, że żaden Polak w trzech zaborach, nie ustępował policjan-towi miejsca w tramwaju.

Poznałem Zbyszka Cyganiewi-cza po wojnie, w Londynie, gdy miał już 70 lat. Przyjechał na-grywać film „Night and a City“ Grał zapaśnika i grał znakomicie. Spędziłem dziesiątki wieczorów z Cyganiewiczem, z tym kawałkiem historii.

Był średniego, raczej nawet małego wzrostu, lecz ważył sto dwadzieścia kilo. Chodził koły-sząc się; był kompletnie łysy; nie pił, nie palił i siedział o metr od stołu, bo wciąż miał tę kolosalną pierś siłacza. Był pogodny, weso-ły, skromny... Wciąż dbał o kon-dycję. Chodził co dzień na sałę gimnastyczną. Pływał. Nie jadł kartofli, by nie tyć. Jako praw-dziwy Polak, uwielbiał mówić o polityce. I miał fantastyczną pa-mięć. Stoczył tysiące walk w życiu a pamiętał każdą. Spał na-zwiskami zapaśników sprzed pół

wieku, jakby ich wczoraj pożeg-nał na arenie.

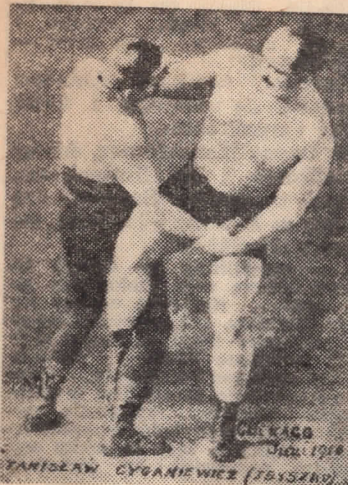
Cyganiewicz urodził się we wsi Jodłowej, pod Tarnowem, 1 kwietnia 1880 r. „Krzyżacy“ Sienkiewicza ukazały się, gdy Cyganiewicz był w siódmej kla-sie.. Koledzy przewalili go więc zaraz „Zbyszko“ — ten przydo-mek został mu na całe życie. Sta-ło to się jego oficjalnym nazwis-kiem.

Ojciec Stasia był egzekutorem podatkowym i marzył o wypro-wadzenie syna na urzędnika. Ale oto — cyrk przyjechał do Stani-sławowa. Atletą Schpet, z Wied-nia, rzucił wyzwanie całemu mia-stu, kładł pokotem wszystkich rzeźników i kowali. Któregoś wieczora, na arenę wystąpił 15-letni Cyganiewicz, wyszkolony w Sokole. Ku ogólnemu osłupieniu rozłożył Schpetę na łopatki. No, i zaczęło się...

W 1903 r. Zbyszko zdobywa w Paryżu trzecią nagrodę na mis-trzostwach świata. A trzy lata później jest już bezapelacyjnie pierwszy. Zostaje mistrzem świa-ta!

Zbyszko zjeździł cały świat. Walczył w pięciu częściach świa-ta. Wszędzie gdzie walczył, ko-lonia polska szalała. Pyszniła się nim, chełpiła. Daszyński wspomi-na w swych pamiętnikach o kla-pie jaka spotkała jego wiec w Chicago, w 1910 roku. Nikt nie przyszedł, bo akurat o tej samej porze Zbyszko walczył z Amery-kaninem, Gotchem. Więc Polacy, naturalnie, pobiegli masowo na występ Zbyszka.

„Ale, zaznacza razżałony Da-szyński, Cyganiewicz przegrał, a



Zbyszko Cyganiewicz (na lewo) w 1910 r., w Chicago

że Polacy stawiali nań olbrzymie sumy, więc duch Polonii osłabł i przez dłuższy czas nie nie można było robić“.

Wynika z tego — zgodnie z prawdą — że ambasadorem pol-skości był Zbyszko, a nie żaden politycy.

Podczas tego tournée w Ame-ryce Zbyszko zarobił olbrzymią na owe czasy sumę — 67 tysięcy dolarów!

Wielkie boje staczał Zbyszko w Londynie. Wobec 30 tysięcy wi-dzów, na White City, zmagął się dwie i pół godziny z Hindusem, Gamą. Był remis! Zwycięzył ol-brzymiego Kozaka, Poddubnego. Występował przez pół roku w Palladium, kładąc w ciągu minu-ty każdego kto się zgłosił z wi-downi. Dostawał za to sto fun-

tów tygodniowo, co na owe cza-sy było więcej niż dzisiaj tysiąc funtów.

Bardzo dużo też walczył w Ro-sji, gdzie był nadzwyczaj popu-larny. „Student wierskavo uni-wersiteta!“ — zapowiadano go zawsze z patosem.

Pojawił się w Moskwie pewien Zaikin, z Carycyna, dziś Stalin-gradu, zwany „bohaterem Wołgi“. Kładł wszystkich! Sprowadzono Zbyszka „na mecz stulecia“. Wielki książę w loży. Pereł na damach, jak siemieczek na stra-ganie... Rosjanie zacierają ręce...

Szast — prast, i Zbyszko roz-ciągnął Zaikina w trzy i pół mi-nuty. Porwał się „bohater Woł-gi“, krzyczy, protestuje, wygra-ża... Więc Zbyszko stracił cierpli-wość, schwycił łeb Zaikina pod pa-chę, przytrzymał:

— Ty czto durak? Niedawolen znaczyć?

I — buch — buch, palnął go dwa razy w mordę. Bohater Woł-gi był już zadowolony.

Zbyszko miał ogromny talent lingwistyczny. Mówił płynnie kil-kunastu językami. Pytałem go: „— Jaki kraj pan najbardziej lubił?“

Odpowiadał „— Turcję! Wpa-dałem tam dawniej często, choć na parę dni“. Jasne! Zapaśnictwo jest narodowym sportem Turcji.

Cyganiewicz dorobił się wiel-kich pieniędzy. Ale przyszła pierwsza wojna światowa, rewolu-cja, plajty bankowe, dewaluacja — i wszystko stracił. Po pierwszej światówce pojechał do Stanów Zjednoczonych i zaczął się dorabiać od początku. Zdobył

mistrzostwo świata w 1922 i 1926 roku. Za mecz z Lewisem w Filadelfii, dostał 50 tysięcy do-larów. Ale to już było nie to! Zapaśnictwo opanowali cyrkow-cy, walki zamieniły się w błazeń-stwa... Boks wyparł zapaśnictwo z pierwszego planu.

Cyganiewicz zbił po raz drugą fortunę. W sumie, w ciągu swych 40 lat na matach całego świata zarobił przeszło trzy miliony do-larów. Lecz przyszedł kryzys w Ameryce i Zbyszko po raz dru-gi wszystko stracił. Znow zaczął objeżdżać świat, jeszcze raz za-robił. Do końca życia był zamoż-nym człowiekiem.

Był też zawsze pogodny. Nie żałował ogromnej fortuny. Wo-lał wspominać jak rozłożył wiel-kołuda tureckiego, Nurlacha. Jak zmógł potężnego Serba, Antoni-cza. Jak się męczył ze zrecznym Estończykiem, Abergiem. Jak po-konał groźnych Niemców, Eber-le i Kocha, i tylu, tylu innych... Garkowienko, Sztekker, to już była druga klasa.

Miał świadomość, że przeżył ciekawe, wspaniałe życie. Znał wszystkie współczesne mu zna-komitości — Paderewskiego, Sza-lapina, Caruso, Prusa, Conrada... Nie było luksusowego hotelu na świecie, w którym by kiedyś nie mieszkał. Wszędzie był, tyle wi-dział. Zznał sławę, bogactwa, przygód, emocji... Był rzadkim okazem Polaka, który nie biado-lił, nie narzekał; mówił:

— Miałem szczęśliwe życie. Gdybym mógł — przeszedłbym je jeszcze raz, od nowa, tak sa-mo — zaczynając od zwycięstwa nad Schpetem, w Stanisławowie.